

Do artykułu Witolda Jakubowskiego

Lektura tego artykułu była dla mnie wielką przyjemnością. Jego główna teza, a mianowicie to, że przed współczesną edukacją stoją nowe zadania związane z przemianami, jakie dokonały się na świecie w ostatnim półwieczu jest prawie oczywista. Prawie, bo niby wszyscy o tym wiedzą, a jednak większość instytucji i programów edukacyjnych w naszym kraju (i w wielu innych) nie nadąża za zmianami, na jakie wskazuje autor. Skutek jest taki, że uczący i uczniowie to często dwa nieprzystające światy.

Choć artykuł profesora Jakubowskiego porusza też inne tematy, przede wszystkim sposób funkcjonowania współczesnej kultury popularnej, chciałbym skupić się na jednym z jego wątków jakim jest wykorzystanie (lub jego brak) współczesnych mediów w edukacji. Zgadzam się, że współczesna edukacja „wymaga poznania specyfiki mediów” (s. 24) i że media elektroniczne tworzą „nową przestrzeń edukacyjną” (s. 18). Wydaje mi się jednak, że pierwszą trudnością dla nas, pokolenia 30+, jest chyba zrozumienie skali tych zmian i skali możliwości jakie ta nowa przestrzeń edukacyjna — w nikłym stopniu wykorzystywana — przed nami otwiera. Po pierwsze, nie mamy (chyba) adekwatnych badań, które pozwoliłyby nam na rzetelną ocenę sytuacji. Po drugie, sytuacja zmienia się tak szybko, że nie mamy motywacji, aby ją badać na bieżąco „dawnymi” metodami, a brakuje nam szerszej formuły reagowania, „nowej” metody, która byłaby w stanie objąć proces i rejestrować zachodzące w nim trendy i zmiany.

Obie te kwestie stawiają duże wyzwania, choć pierwszej moglibyśmy chyba stawić czoła także w oparciu o badania przeprowadzone na Zachodzie. Na przykład ciekawą perspektywę szkicuje Marc Prensky w artykule „Cyfrowi tubylcy, cyfrowi imigranci” z 2001 r. Prensky twierdzi między innymi, że dzisiejsze młode pokolenie — rocznik 1980 w górę (w Polsce może od 1985 w górę) — to „cyfrowi tubylcy”: ludzie, którzy od małego wzrastali otoczeni elektroniką, komputerami, grami telewizyjnymi, wideo, telefonami komórkowymi i innymi gadżetami ery elektronicznej. Są to osoby, zauważa Prensky, które do wieku maturalnego spędziły średnio mniej niż 5000 godzin na lekturze książek i komiksów, ale ponad 10000 godzin na grze w gry wideo, nie wspominając już o ponad 20000 godzin spędzonych na oglądaniu telewizji. Ludzie tacy myślą i przetwarzają informacje zupełnie inaczej niż pokolenia przed-cyfrowe. Nie wchodząc w szczegóły, które odróżniają cyfrowych tubylców

od cyfrowych imigrantów (czyli nas), Prensky twierdzi, że sytuacja w dzisiejszej edukacji jest taka, że nauczyciele-imigranci, posługujący się przestarzałym językiem przed-cyfrowym, zmagają się z zadaniem uczenia populacji tubylców, którzy posługują się zupełnie nowym językiem. Nic dziwnego, że nie idzie im najlepiej, i że od jakichś 10 lat coraz głośniej mówi się o kryzysie edukacji w świecie zachodnim.

Gdzie jesteśmy w tym procesem my, w Polsce? Myślę, że całkiem głęboko w lesie. O ile modyfikacja programów szkolnych i zmiana mentalności nauczycieli to gigantyczny proces, sądzę, że można i należy zaczynać zmiany od uczelni wyższych. To one mają, lub powinny mieć, największe możliwości adaptacyjne do nowych wyzwań i to one powinny dyktować trendy w edukacji. Bo to one, w końcu, kształtują nauczycieli.

Artykuł Prensky'ego można znaleźć na stronie:

<http://www.marcprensky.com/writing/Prensky%20-%20Digital%20Natives,%20Digital%20Immigrants%20-%20Part1.pdf>

Do artykułu Adama Nobisa

Lektura rozważań profesora Nobisa nad tym jakie zjawiska należy badać, i w jaki sposób to czynić, aby uzyskać rzetelny obraz globalizacji dała mi wiele do myślenia. Wygląda na to, iż pytań jest więcej niż odpowiedzi: że procesy globalizacyjne są tak złożone, iż właściwie można do nich podchodzić z dowolnej perspektywy (azjatycka, europejska, kosmopolityczna, ekonomiczna, kulturowa, neoliberalna, konserwatywna itd.), przez co osiągnane odpowiedzi też mogą być diametralnie różne. Dla jednych globalizacja homogenizuje, dla innych podkreśla różnice między tym co lokalne, a tym co inne. Z drugiej strony, sądzę iż z tekst profesora Nobisa sugeruje jednak, iż w gąszczu podejść i metod możemy zgodzić się co do pewnych przesłanek badawczych. Po pierwsze, wiemy już, iż badanie globalizacji może odbywać się z perspektywy euroamerykańskiej, ale i z perspektywy postkolonialnej, afrykańskiej, azjatyckiej, i że w obu przypadkach ukazuje inne aspekty tych samych procesów, a przez to wzbogaca obraz całości. Po drugie, niezależnie od tego jak pojmuje globalizację dany badacz, zdecydowana większość zgadza się z tym, iż należy ją rozpatrywać w kontekście zmian, jakie w życie społeczności ludzkich wnosi postępująca technologizacja.

Szczególnie intrygujące w artykule jest wskazanie na budzącą kontrowersję relację między ideą państwa narodowego a globalizacją oraz na fakt rozpoznania wielu rodzajów nowoczesności — nie tylko typu zachodniego. Te dwie kwestie zasługują na dalsze badania.

Osobiście zgadzam się z linią Huntingtona: całkowita homogenizacja kulturowa jest niemożliwa. Granice poznania „innego” wyznaczają tylko nasza otwartość i nasze uprzedzenia, nasza przeszłość i nasze wyobrażenia o teraźniejszości.

Do artykułu Jana Budurkiewicza

Niezwykły tekst! Wobec paleontologicznej perspektywy, debaty nad globalizacją rozumianą jako konsekwencja mentalności post-oświeceniowej (ostatniego stulecia) i rewolucji technicznej (ostatnich trzech dekad) jawią się jako dzielenie włosa na czworo. Skoro „globalizacja jest cechą charakterystyczną dla rodzaju ludzkiego” (1) i skoro „proces pojawienia się i zasiedlania kuli ziemskiej przez *H. Sapiens* jest jednym z najbardziej fascynujących zjawisk globalizacyjnych” (4), trudno dopatrywać się we współczesnej odmianie globalizacji czegoś nowego. Z drugiej strony, autor faktycznie przekonał mnie, iż ograniczanie globalizacji tylko i wyłącznie do zjawisk ostatniego wieku jest wyborem perspektywy, a nie wynika z samej istoty procesów globalizacyjnych.

Do artykułu Bożeny Muszkalskiej

Jestem pełen podziwu dla pani profesor Muszkalskiej za podjęcie tematu globalizacji z perspektywy muzykologa. Faktycznie, granice państw nie są już wyznacznikami zasięgu kultur muzycznych, a muzyczna wielokulturowość wydaje się być nowym standardem. Dziękuję też autorce za wskazanie, że kategoria „world music” stała się zbyt pojemna i zbyt ogólna, aby stanowić realną pomoc w badaniu przepływów muzycznych i funkcjonowania muzyki w świecie współczesnym. Na marginesie tego artykułu zastanawiam się, czy możliwe byłoby zbadanie (i podliczenie) zasięgu oraz częstotliwości użycia konkretnych instrumentów w obiegu tzw. „world music”. Jakie wnioski mogłoby sugerować takie badanie: to, że niektóre instrumenty są bardziej globalne a inne bardziej lokalne? Lub to, że niektóre instrumenty są łączone z konkretnym etosem lub emocją? Na przykład sitar albo tambura z czymś „filozoficznym”, a australijskie didżiridu z „outsiderowskością”?

Doskonały artykuł. W moim mniemaniu dobitnie pokazuje on, jak wielką rolę może pełnić nauka „w służbie” idei i jak kontrowersyjna owa służba jest w swej istocie: Dwornik, a w jeszcze większym stopniu Bartlett, są — co pokazuje autor — apologetami europeizacji rozumianej zgodnie z przewodnimi ideami leżącymi u podstaw Wspólnoty Europejskiej. Zjednoczona Europa ma historię, ale chce mieć „zjednoczoną” historię, która ma też być historią wielkiego, długoterminowego „jednoczenia się”. Taka wizja Europy występuje też w Preambule projektu Konstytucji Europy, która wyśmiali Anglicy (i nie tylko). Faktem jest bowiem, że historię Europy wyznaczają wojny i konflikty między opcjami religijnymi, interesami dynastycznymi i imperialnymi, a potem także narodami. Z drugiej strony, przyznaję, trudno jest zaprzeczyć, iż pojęcie Europy i jej dziedzictwa kulturowego oraz cywilizacyjnego jest faktem nawet przy uznaniu wszelkich wojen i konfliktów, które ową Europę tworzyły. Ta ambiwalencja Europy faktycznej (historycznej?) i Europy wymyślonej (para-historycznej?) leży u sedna problemu, jaki porusza doktor Rosik. Czy wizja przeszłości Europy zaprezentowana przez Bartletta, chociaż historycznie mocno naciągnięta, może lepiej przysłużyć się budowaniu jedności Europy niż historycznie rzetelniejsza wizja Europy fragmentarycznej i wiecznie skłóconej? Jeśli tak, to czy cel uświęca środki? Czyż nie tym kierował się Stefan Starzyński, tworząc mit Westerplatte; mit, który inspirował pokolenia Polaków, każąc im widzieć siebie jako szlachetniejszych, odważniejszych i bardziej gotowych do poświęceń niż to faktycznie było?